

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc”
przy Państwowych Seminarjach Nauczycielskich w Białymstoku.

TREŚĆ NUMERU.

- | | |
|--|---------------|
| 1. Od Redakcji | Redakcja. |
| 2. Sportowcy, budźcie się | Jerzy Lazur. |
| 3. Autorowi „Z naszego życia sportowego” | „Skała”. |
| 4. Bracia | Onacik. |
| 5. Obrazy i nastroje zimowe | „Skała”. |
| 6. Ptaszek i ludzie | Dudziński. |
| 7. Czajka | Onacik. |
| 8. Dola | Dudziński. |
| 9. Szóste Betlejem | E. Świdorska. |
| 10. Nasza zabawa karnawałowa | Jurewiczówna. |
| 11. Humor i satyra: Rozmowa filozofów | A. Sokół. |
| 12. „ Dwa sprawozdania | K. Kottowski. |
| 13. „ Tańczący filozof | Dudziński. |
| 14. „ Nadzwyczajne wypadki | Dudziński. |



Adres Redakcji i Administracji: „Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku № tel. 36.

Redaktor: K. Kottowski

Wiceredaktor: E. Bielawska.

Redaktor odpowiedzialny: P. Gajdzica.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku.

CZYTELNICY!

DO P. PRENUMERATORÓW.

Administracja uprasza o bezwzględne wpłacenie prenumeraty za ubiegłe numery, gdyż będzie zmuszona przerwać wysyłanie pisma zalegającym.

ADMINISTRACJA.

Zbytecznym byłoby roztrząsanie takich zagadnień jak: czym jest nasza gazetka? jakie korzyści przynosi i t. p. — gdyż było to omawiane jeżeli nie setki, to dziesiątki razy. Pozwolę sobie tylko przypomnieć Czytelnikom „Młodej Myśli” cel istnienia naszej gazetki. Otoż najgłówniejszym celem jej jest odzwierciedlenie naszego życia szkolnego i wyrobienie literackie piszących do niej. Zgodnie z tytułem gazetka nie może być jakimś starym gratem, kuźnicą spleśniałych morałów, nie może również zamieszczać bezmyślnych artykułów, natomiast musi zawierać w sobie życie i myśl zdrową i jędrną.

Myliłby się wszakże ten, kto by sądził, że gazetka jest ekranem, na którym mają „wyświetlać się” genjusze, mistrze pióra, że jest Parnasem lub Olimpem, dostępnym dla bogów — Niech Bóg broni!

Gazetka ta jest dla wszystkich myślących członków naszego społeczeństwa, jest dla tych, którzy mają drugim coś do powiedzenia — bo jeśli nie, radzę nie chwytać za pióro.

Zatrważająco mała ilość Czytelników bierze czynny udział w pracy około naszej gazetki.

W niektórych numerach widnieje jedno nazwisko pod kilkoma artykułami, które czasem umieszczało się dlatego jedynie, że nie było czym zapełnić numeru. Niech osądzą Czytelnicy, czy podobny objaw nie wygląda na chorobę, którą trzeba usunąć. Co uczyniła dawna redakcja w kierunku udoskonalenia gazetki, Czytelnicy mieli możność osądzić, my będziemy nadal kontynuowali tę pracę, a oprócz tego postanowiliśmy wciągnąć do niej szerszy ogół, ale czegoż możemy dokonać bez pomocy Czytelników?

Kiedy się zwracałem do niektórych „piór”, aby coś ognistego „skrobnęły”, zaskrzeczały przeraźliwie, że nie mają tematu. Czyż może być bliższy powód nad brak tematu?

Gnębi cię, „siostró i bracie”, jakaś zmore, siadaj i lej atrament na nieskalaną białosc papieru!

Świta ci w głowie jakaś idea — na papier! Kochasz się — pisz boskie rymy na cześć spokoju, który tak jest potrzebny w naszych warunkach! Jesteś muzykiem — „krop” o muzyce, filozofem — o filozofii i t. d.

A kiedy odnośne artykuły, naturalnie, porządnym stylem pisane i dobrze ujęte — zaczną napływać do redakcji, gazetka dojdzie do doskonałości. Ale niedosyć na tem: może i cała Rzeczpospolita zacznie „cmokać” ustami i mruczeć: „Tęgie łby i złote serca w tych seminarjach białostockich”.

Jeżeli natomiast redaktor będzie biegł od osoby do osoby, zebrząc o świstek zabazgranego, często wątpliwej wartości myślami, papieru, cała sprawa stanie się naprawdę tragiczną i gazetka, zamiast „z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe”, stanie się czemś w rodzaju środka nasennego, a nie pobudką do czynu, nie hymnem na cześć piękna naszej twórczej młodości.

Proszę nie zrażać się tem, że czasami (zresztą bardzo rzadko) czyjś artykuł z braku miejsca, lub innej przyczyny, nie będzie drukowany. Niech Bóg broni tracić w takim wypadku wiarę w swoją gwiazdę; niedobry jeden, pisz drugi, niedobry drugi, pisz trzeci, piąty i setny, a wtedy napewno któryś będzie dobry.

Zwracamy się zatem jeszcze raz do Czytelników z gorącą prośbą, by swego stosunku do „Młodej Myśli” nie ograniczali do jej czytania i krytykowania, lecz do pracy redakcyjnej, odnosili się życzliwie i wzięli w niej czynny i jak najżywszy udział.

REDAKTOR.

Sportowcy, budźcie się!

Kol. R. w Nr. 1 (23) na rok 1928 w artykule pod tyt.: „Z naszego życia sportowego” roni łzy nad konającym życiem sportowem w naszej szkole. Ale czyż to, że nasze „Koło Sportowe” jest chore na galopujące suchoty, jest dostatecznym argumentem do takich czarnych, pesymistycznych sądów? Idąc dalej, muszę powiedzieć, że ani wzniosła idea, ani związany z nią ruch sportowy nie przesiliły się, ani nie utraciły swej aktualności, tylko poprostu kontynuowanie sportu na boisku jest w miesiącach zimowych wykluczone (mówię o tych sportach, które wymagają sportowego ubrania), możnaby; prowadzić w sali

ćwiczeń zaprawę zimową, która nawet początkowo miała miejsce, ale teraz przestała istnieć.

Dlaczego? To już inny temat, wymagający głębszego rozpatrzenia. Zgadzam się z tem, że sport w przyszłej naszej pracy bardzo nam się przyda, jednakże niechże kol. R. nie zapomina, że w szkole powszechnej nie będziemy kładli głównego nacisku na lekkoatletykę, ale na gry zespołowe i ćwiczenia gimnastyczne.

Nauczyciel, chcąc zachęcić młodzież danej wsi do zajęcia się sportem, niekoniecznie — mam wrażenie — musi osiągać 1.95 cm. w skoku wzwyż, czy rzucać dyskiem 42 m., kulą zaś 14 m. etc., przeciwnie, jeżeli będzie nawet miał pomyslny wyniki, a nie będzie posiadał zdolności organizacyjnych, to i tak sportu „nie zaszczepli” na wsi. Nie znaczy to jednakże wcale, abyśmy nie mieli zdobywać takiej, czy innej sprawności fizycznej; musimy przytem tylko pamiętać o tem, by umieć dany skok czy rzut zinstruować. Kol. R. twierdzi, że sport u nas upada. Poniekąd, ale to tylko poniekąd, ma R. rację; jabym to inaczej określił: spoczęliśmy na laurach, to znaczy nie staramy się podnieść tych wyników, które dotychczas dawały nam pierwsze miejsca w danych zawodach. Mam wrażenie, że główną przyczyną tak czarnych sądów kol. R. w naszym sporcie była „przegrana sztafeta”. Przegrano ją zaś — jeżeli już poruszam „sztafetę” — według mnie — dzięki:

1-o naszemu, chorującemu już obecnie na galopujące suchoty „Kołu Sportowemu”, gdyż ono właśnie, wystawiając „sztafeciarzy”, lekko potraktowało sprawę ich wyboru;

2-o dzięki złemu zorganizowaniu wogóle zawodów: (zobaczylibyśmy, jaki byłby wynik sztafet, idących nie dookoła boiska, ale szosą);

3-o byliśmy „więcej papiescy, aniżeli sam papież”! w drużynie zwycięskiej lepsi biegali po dwa razy, myśmy zaś...

„Nie chcę być ani Jeremjaszem, ani Skargą... etc” — biada w swym artykule kol. R.

Czy ten zwrot ma być wezwaniem do czynu?!

Artykuł „Z naszego życia sportowego” bardzo niewiele ma treści „z naszego życia sportowego”. Że Koło Sportowe upadło, to mem zdaniem nawet i dobrze: Koło to bowiem nietylko nie ułatwiało życia sportowego naszym członkom, lecz, przeciwnie, raczej je utrudniało. Dowodów, popierających powyższe zdanie, można znaleźć moc:

„A to w tej drużynie piłki siatkowej nie zanotowano wyników z przebiegu granej partji; to w danej drużynie grał nie-

członek, wobec czego drużynę się zawiesza, udziela jej nagany etc”.

Na zakończenie chcę na temat sportu powiedzieć jeszcze kilka słów.

Sport ma u nas najwięcej chyba zwolenników, ale z nadejściem wiosny; mało zaś jest takich, którzy ćwiczą przez całą zimę zaprawę: są to przeważnie osobniki o wrodzonych już zdolnościach do takich, czy innych wyczynów sportowych.

Ostatnio mogło wprawdzie kilku korzystać i korzystało z odbywających się treningów p. Norlinga; byli to jednakże tylko ci wybrani, inni natomiast, czy to z powodu płuc, czy z powodu zbyt „rozbrykanego serca”, nie mogli brać w treningach tych udziału.

Korzystali z nich nieliczni.

Ano, trudno!

Jeżeli zaś chodzi o ducha sportowego, to mam wrażenie, że on jednakże nie upadł, tylko raczej, z powodu mrozu, jest w letargu. Nawet już teraz widać, gdy silniej przygrzeje słońce, że sportowcom czegoś brak — „chodzi im sportowe mrowie pod skórą”.

Ano niech tylko „Bozia” da nam słońeczko, okryje ziemię trawką zieloną, niech zanuci skowronek, a napewno zjawi się u nas tylu sportowców, że żadna koleżanka nie będzie się mogła pokazać w ogrodzie.

A zatem!

Sportowcy, budźcie się! Wraca wiosna! Do pracy!

Małeńka uwaga!

A nie zapominajcie o lekcjach, bo będzie „krach”. Podobno najlepszy wynik sportowy nie zastąpi cenzury, powiadającej, że z rokiem następnym będziesz uczęszczał na wyższy kurs.

Coś się u nas mówiło o Uczniowskim Klubie Sportowym. Tak dużo się w związku z nim dyskutowało, że naprawdę bardzo ciekawy, czy sprawa ta wzięła już w „łeb”, czy też U.K.S. będzie istniał, dając możliwość nam, „sztubakom”, również rozwijania się w kierunku sportowym wogóle, a lekkoatletycznym w szczególności.

Jerzy Lazur.

Autorowi „Z naszego życia sportowego”.

W artykule „Z naszego życia sportowego” wyczułam, jak wielce strapiona jest dusza autora.

Stwierdzam, że R. z IV. kursu popadł w taką beznadziejną rozpacz, z której wyjścia nie znajduje. R. uważa, że jeżeli niema formalnie zawiązanego Koła Sportowego, któreby na czele miało pana prezesa, pana sekcyjnego i różnych innych mniejszych lub większych panów, to już sport w szkole nie istnieje.

Dowodem, że tak nie jest, były ostatnie ćwiczenia z p. Norlingiem.

Z nadejściem wiosny również będą się odbywać najrozmaitsze ćwiczenia, treningi i t. p. eksperymenty sportowe.

Napewno nikt nie będzie nam ich wzbraniał, boć przecie Seminarjum nie będzie chciało iść przeciw ogólnemu prądowi — tak zresztą wartościowemu — którym teraz jest właśnie sport.

R. twierdzi, że my, przyszli nauczyciele, nie będziemy posiadali ani przygotowania, ani zainteresowania dla sprawy sportu.

Ja zaś jestem przekonana, że kto będzie miał zainteresowanie, to sobie zawsze poradzi i znajdzie czas na przygotowanie. „Dla chcącego — nic trudnego”.

Naturalnie, jeżeli ktoś nie interesuje się czemś, to nie będzie się starał o przygotowanie. Zresztą wszyscy nie mogą interesować się jedynie sportem i dla niego zapominać o wszystkim innym.

A teraz co do piłki siatkowej. Tu też R. obawia się, że młodzież, która wyjdzie z Seminarjum, nie będzie miała przygotowania do prowadzenia z dziećmi tej gry.

Prawdą jest, że gra ta ma i będzie miała w życiu nauczycieli duże znaczenie.

Dlatego też młodsze kursy, mające więcej czasu, z nadejściem wiosny będą uprawiały grę piłki siatkowej i na lekcjach gimnastyki i w innych wolnych chwilach.

Na zamarcie tej gry napewno nie wpłynie to, że drużyny nie będą miały specjalnych książeczek, sprawdzanych przez sekcyjnego.

A młodzież starszych kursów nie ma czasu, aby go poświęcać piłce, przynajmniej bardzo rzadko, ale ona przecie przygotowanie już ma z poprzednich lat.

Jeżeli jakiś nauczyciel znajdzie się na dalekiej wsi (jak mówi autor), a będzie miał wielką chęć zorganizowania gry, o której mówi, to chyba pamięć dopisze mu na tyle, aby sobie przypomnieć, że trzeba wbić w ziemię dwa pale i zawiesić siatkę.

Sposób gry też sobie przypomni; jedno może zapomnieć, mianowicie: wymiary boiska.

Tu nic łatwiejszego niema, jak odczytanie wymiarów z książki, (wielka sztuka — co?)

A gdyby nie miał książki takiej, to nie zgrzeszy, wytyczając boisko „na oko” — i tak też będzie dobrze.

Nie jest więc wcale tak źle, jak R. przypuszcza. Na pytanie: „Jakież więc będą wyniki naszej pracy w tym kierunku?” — odpowiem, iż będą one zależne jedynie od nas.

Jeżeli będziemy mocno chcieli zrobić coś, to zrobimy na pewno.

Zapał zainteresowania — stanie się przygotowaniem i wyda owoce. *Skuta.*

B R A C I A.

Gorący czerwcowy dzień miał się już ku końcowi. Słońce, które przed chwilą prażyło niemilosiernie, teraz, jakby zaszępiłone, powlekło się mgłą i naukos rzuciło swe drżące promienie. Od nieruchomo stojących drzew poczęły wyciągać się czarne, długie cienie, zwiędłe, pokurczone liście roślin, pod orzeźwiający podmuchem łagodnego wiatru, zaczęły się wyprostowywać i powracać do normalnego stanu; przybrzeżne sitowia cicho zaszeleściły; z największej ich gęstwiny na lekko pomarszczoną powierzchnię wody wypłynęła dzika kaczka, prowadząc za sobą całe stadko swych dzieci; cała ta gromada, trwożliwie oglądając się, wypłynęła na sam środek niezarośniętej sitowiem wody i zatrzymała się w miejscu. W spokojnym powietrzu, od czasu do czasu, unosiły się ze świstem inne wodne ptaki i, zataczając koło nad stawem, spadały ciężko na jego powierzchnię i rozpoczynały swój żer wieczorowy. Najniższe miejsca łąki zaczęły się powlekać chłodną chmurą tumanów, roje komarów, opuściwszy swe dzienne kryjówki, z żalnym brzękiem zaczęły się uwijać w promieniach gasnącego słońca. Całą błotnistą, usłaną małymi jeziorkami równinę, oraz czerniejące woddali wzgórze i las, który przylegał jedną stroną do wzgórza, opasywał półkolem równinę i ginął gdzieś w oddali, zwolna zaczął pokrywać cień nocy. Ostatnie promienie zachodzącego słońca gasły. Zatrzymały się chwilę na wierzchołku samotnej brzozy, odbiły się i zaiskrzyły na skrzydle bujającej w powietrzu czajki i pierzchły aż hen na lekkie pierzaste obłoki, które zwolna pokrywały całe sklepienie niebieskie.

Ciepły letni wieczór zlatywał na cichą dolinę. Sitowia i stawy ozwały się zgodnym akordem najrozmaitszych głosów.

Gdzieś woddali ciężko wzdychał bąk, wtórowały mu zawzięcie derkacze, brzęczenie komarów przebiegało się wysokim sopranem wśród tego koncertu, który witał wieczorną zorzę. Z zachodem słońca uroczysta cisza panowała wszędzie, powietrze stało się chłodne, coraz gęstsza mgła osiadała na wilgotnych łąkach, z odległego lasu dolatywały odgłosy wieczornego koncertu słowików. Nakształt tajemniczych duchów zakreśliły się i zawirowały w nocnych mrokach cienie nietoperzy, które, bez najmniejszego szelestu, nagle się zjawily i jeszcze prędzej znikaly. Na miękkich, puszystych skrzydłach, od strony lasu, przeciagnał jakiś nocny ptak. Noc schodziła na ziemie.

Nagle, od strony wzgórze, błyska smuga światła, a wkrótce potem rozległ się złowrogi huk, który jak odgłos pioruna w tysiącznych echach rozbrzmiał i, zda się, wypełnił sobą cały nieobjętny przestwór nocy. To wystrzał armatni. Oto spokojna, błotnista równina między wzgórzami a lasem już od kilku dni jest terenem, który dzieli dwie zaczajone siły zbrojne, czyhające jedna na drugą. Tysiące ludzi z obu stron tej równiny spędzają dnie i noce w ustawicznej trwodze o własne życie, w ustawicznej chęci odebrania tego życia innym — sobie podobnym. Tu na tej cichej, spokojnej równinie, gdzie miliony innych stworzeń żywych korzystają z tej krótkiej chwili, której na imię życie, chcą nacieszyć się tą chwilką, z rozbłyskiem poranka bowiem może się rozegrać jedna z największych tragedij ludzkości.

Tymczasem noc ciepła, spokojna, lecz tak ciemna, że w odległości parę kroków najwprawniejsze oko nicby nie mogło rozpoznać, zapanowała niepodzielnie nad ziemie. Zmącony przed chwilą spokój przyrody powoli zaczął powracać. Tak samo, jak przed chwilą, żalostnie zaczął brzęczeć bąk, ozwały się derkacze i komary, tak samo, jak przed chwilą, trwożnie zaszeleściło sitowie i liście samotnej brzozy. Było już daleko po północy, gdy od strony lasu dały się słyszeć tłumione kroki zbliżających się ludzi. Było ich dwóch. Błady księżyc, który właśnie w owej chwili wynurzył się z za wzgórze, rozświetlił ich surowe oblicza i srebrnym promieniem zabłyszczał na połyskującej stali bagnietów. Zbliżywszy się do krzaka, rosnącego nad brzegiem stawu, w pobliżu samotnej brzozy, zatrzymali się i, trwożnie wyciągając szyje, usiłowali przesyć wzrokiem ciemność nocy. Jeden z nich był już starszy wiekiem, o czym świadczył jego gęsty zarost w postaci brody i wąsów, drugiemu można byłoby dać lat najwięcej dwadzieścia pięć, chociaż postawą przerastał swego starszego towarzysza. Obaj byli przednią strażą posuwających się naprzód placówek.

— Antek—odezwał się cicho starszy —musimy tu poczekać; niech księżyc wzbije się trochę wyżej, bo w takiej ciemności nie sztuka wpaść na nieprzyjaciela.

— Zgoda—rzekł nazwany Antkiem i, zbliżywszy się do krzaka, w jego gęstwinie ustawił swój karabin.

— Antek—ciągnął tymże tonem starszy — a nie myśl, że będziemy siedzieli tu do świtu; niech jeno księżyc podniesie się nieco, posuniemy się jeszcze o paręset metrów.

— Dobrze, dobrze, ja też nic nie myślę, tylko popalę sobie.

— Antek—niespokojnie mówił starszy—nie rób głupstwa, ty wiesz, co za to samo spotkało tego tam, jak się nazywa...

— Wiem—przerwał mu Antek,—ale mnie to nie spotka.

— Antek, zawsze ci mówię, że nierozsądny jesteś.

To mówiąc, wychylił się z za krzaka i, wyciągając szyję jak żóraw, wpatrywał się przed siebie. Tymczasem Antek dobył krótką fajeczkę, nabił ją tytoniem i zabierał się właśnie do zapalenia, gdy do jego i jego towarzysza uszu doleciał daleki odgłos, jakby skrzypienie kół.

— Antek, słyszysz?—rzekł starszy—mówię ci, będzie jutro batalja.

— A niech będzie—rzekł Antek—lepsze to w każdym razie, niż siedzenie w okopach.

Antek przy pomocy starszego, osłaniając połami płaszców płomień zapalniczki, zapalił nareszcie swą fajeczkę i, puszczając kółka dymu, pograżył się w milczenie, co widząc starszy, również zaprzestał rozmowy. Przez chwilę panowało milczenie. Od sennego stawu, jak ofiarne kadzidła, unosiły się opary i zawisały nieruchomo nad zwierciadlaną jego powierzchnią. Księżyc wzbijał się już dość wysoko i rzucał błękitne smugi promieni na uszpiętą ziemię. Senne kuliki trwożnie przygwiszdywały. Panował zresztą prawie zupełny spokój, tylko bąk w dalszym ciągu brzęczał. Antek palił i milczał, starszy milczał również, lecz widać było, że w jego duszy wzbudziły się dawne wspomnienia, czy tęsknota za czemś.

— Antek—rzekł po chwili—o czem myślisz?

Po twarzy Antka przeleciał cień niezadowolonia.

— Nie myślę wcale, bo palę, widzisz przecież — rzekł z niechęcią i dalej pograżył się w niemy stan jakiegoś dziwnego uczucia, które nawiedziło go w chwili, gdy znalazł się sam z towarzyszem wśród tej nocy, tak cudownej, a zarazem tak groźnej.

Przyszedł łącznik, mówiąc, że linja czujek rozciągnięta jest wzdłuż rowu, czy rzeczki, która płynie środkiem łąki, że czujki nieprzyjaciela muszą być gdzieś po drugiej stronie tego rowu

czy rzeczki i że powinni pilnie obserwować swój odcinek, bo— jak widać z ruchów nieprzyjaciela, na coś się zanosi. Upłynęło jeszcze kilka minut, a Antek wciąż pograżony był w zadumie. Wspomnienia młodości, jak rój natrętnych komarów, wiałem cisnęły się do jego głowy. Jak we śnie, wizje dawno minionego życia na wolności stanęły jak żywe przed oczyma jego duszy. Przypomnił sobie ów czas, kiedy, nie będąc jeszcze w wojsku, żył razem z matką i młodszym bratem w pewnym mizernym, nawpół żydowskim miasteczku podlaskim. Fala wojsk nieprzyjacielskich dawno zalała rodzinną jego miejscowość.—Co też dzieje się z bratem i matką?—myślał teraz Antek, wpatrując się w pustkę nocy. Obrazy, jedne straszniejsze od drugich, zawirowały przed jego oczyma, lecz po chwili pierwszego uniesienia się czarnymi przypuszczeniami nastąpił moment refleksji.—Et, nie zginęli chyba—myślał Antek.— Zresztą brat da sobie radę, to chłopak rozsądny i sprytny... I tu w wyobraźni Antka powstał cały szereg obrazów, cały rój wspomnień zleciał nagle na niego i pochłonał go całkowicie. Oto widzi siebie i Jędrka, brata, jak wczesnym rankiem idą obaj z kosami w rękach na łąkę, oto Jędrak zdejmuje buty, wyjmuje oselkę i, utkwivszy koniec drzewca kosy w ziemię, zaczyna ostrzyć; rozigrana fantazja Antka wyraźnie słyszy dźwięczny głos stali.—No — myśli Antek—przecież młodszy ode mnie, a ja mu w robocie nie dorównam...

Dalej widzi swój dom rodzinny, całą swą zagrodę, przypomina mu się ten dzień, kiedy to Jędrak odwoził go na stację, gdy musiał iść do wojska... Jak gdyby to było wczoraj, widzi Antek, jak Jędrak, po pożegnaniu się z nim, wsiadł na wózek, huknął na konie i, gwizdząc wesoło, cwałem popędził do domu.

Wtem — stój, kto idzie?! — i nagle poderwanie się jego towarzysza przerwały Antkowi pasmo wspomnień. Obraz pędzącego Jędrka, jakby przerażony, nagle zawirował, zadrgał i zgiął. Z cienia sitowi powoli wysuwało się coś, jakaś czarna masa i zwolna sunęła ku miejscu, gdzie czuwali Antek i jego towarzysz. Był to oddział, który zmieniał strażę.

Wracając do linii okopów, już w szeregach z bronią na ramieniu, nie myślał Antek o bracie i matce, rzeczywistość zbyt silnie przemawiała do niego, aby i w danej chwili mógł o niej zapomnieć. Z lubością wybijał kroki w takt tempa, rozpręzał ramiona, oddychał całą piersią, dwie godziny bezczynnego czuwania zmęczyły go, to też rad był, że nareszcie będzie mógł wypocząć i nieco się przespać. Oczy mu się kleiły.

— Wiesz, Antek — mówił starszy jego towarzysz, kładąc się obok Antka na gołej ziemi — mówią, że nieprzyjaciel otrzymał posiłki i jutro zechce nas ztąd wyrzucić.

— A niech sobie! — mruknął nawpół senny Antek.

— Powiadają — ciągnął dalej starszy, że w tych posiłkach, uważasz, jest dużo naszych.

— Jakich naszych? skąd nasi?! — jakby zmagła przebudzony, powiedział Antek.

— No, nasi: Podlasiacy, mobilizowani; podobno wróg wy-czerpany, więc korzysta..... Głośne chrapanie Antka upewniło starszego, że kończyć nie ma pogo, więc otuliwszy się płaszczem, przysunął się bliżej do Antka i zasnął również. Księżyc już dosięgnął swego zenitu. Cisza była zupełna. Cała błotnista równina zasłana była chmurą tumanów. Srebrzyste promienie księżycy, przedzierając się przez przejrzyste opary, iskrzyły się na stalowych, połyskujących złowrogo lufach ustawionej rzędem broni.

Zimny dreszcz przebiegł ciało Antka. Poranek dopiero się zaczynał. Obłoki na wschodzie różowiły się, od strony błotnistej rzeczki wiało przejmującym chłodem. Gwiazdy blade. Pokryta rosą, spowita mgłami łąka wyglądała jak rozległe jezioro. Daleko poza mgłami czerniał las. Srebrne głosy skowronków dźwięczały gdzieś wysoko, jakby witając wschodzące słońce. Antek nagle się zerwał, obfite krople rosy przysnęły mu w twarz z rosnącego obok krzaka. Słońce triumfalnym pochodem kroczyło naprzód, jeszcze chwila, a stanie nad horyzontem całą tarczą, olbrzymie, wspaniałe. W okopach widać było żywe poruszenie.

— Panie Grzybkiewicz, wstawaj pan! — rzekł Antek, trącając nogą towarzysza.

Grzybkiewicz zerwał się, jak oparzony; na rozespanej jego twarzy malowało się zdziwienie, czy strach.

— Co, idą już?! Bij, kto w Boga...! — Tu, oprzytomniawszy, przetarł oczy i ze złością splunął. Antek, stojąc obok okrytego kroplami rosy krzaka wikliny, głośno się śmiał. Właśnie pierwszy promień słońca wytrysnął z za horyzontu, przedarł się przez mgły i zaigrał w wierzchołku samotnej brzozy.

Wtem od strony błotnistej równiny rozległ się strzał, po nim drugi, trzeci i nagle całe salwy odezwały się ze stron obu, rozbrzmiewając echem w złotym letnim poranku.

— Już się rozpoczyna — mruknął Grzybkiewicz — bodaj to djabli..... chwili spokojnej niema.

G. O.

(Dokończenie nastąpi)

Obrazy i nastroje zimowe.

W którąkolwiek stronę wzrok swój skieruję, wszędzie białe. Wydaje się, że jakaś niewidzialna ręka, subtelna a wytrwała, otuliła cały świat w miękką biel śniegową.

Zrobiła to wszędzie: w ogrodach, w lasach, koło domów...

Nawet szpary okien gładko, równo otuliła śniegiem.

Patrzę na ogród: ileż tam cudów! ileż zachwyków trzebaby posłać temu widokowi!

Na ziemi ścielą się miękkie, skrzące puchy, tu białe, tam niebieskawe.

Otulają ziemię, by jej było ciepło, by ją upiększyć, gdy niema zieleni, ni barwnych kwiatów.

Drzewa stoją, jakby wykute z alabastru wprawną ręką artysty.

Na każdej gałązce przepięknym, równym wałkiem układa się śnieg w różnych kierunkach.

Świerki stoją majestatyczne, dźwigając na sobie wielkie białe płaty, tworzące najrozmaitsze kształty i przykuwające do siebie wzrok ludzki.

Po drogach białych mkną chyżo sanki za sankami, unosząc ze sobą dźwięk dzwonek wraz z dźwiękiem śmiechów ludzkich.

Z okien domów długimi smugami padają światła i rozświetwiają tysiące złocistych, lśniących iskieł.

Iskry te to ukazują się, to znikają, a na ich miejscu ukazują się nowe, jeszcze bardziej błyszczące i jeszcze piękniejsze.

Podobnie jest ze „złotymi chwilami” w życiu człowieka.

Ukazują się one — jasne i piękne — ale trwają krótko.

Znikają poto, by człowiek trudził się szukaniem nowych, jaśniejszych.

Biedny, kto straciwszy jedną iskrę złotą, nie szuka innej, twierdząc, że tamta była najpiękniejsza i najmilsza!...

Bywa i tak na świecie.

Idąc w zimowy uroczy wieczór, moglibyśmy bez końca podziwiać świat i zachwycać się nim. Z ust naszych padałyby wciąż słowa: „Ach, jak ślicznie, jak cudownie!” ..

Natura sama jednak daje nam do zrozumienia, że zanadto nie można się zachwycać, bo oto, w chwili największych uniesień, sypnie nam w oczy tumanem śniegu i — niby ptak spłoszony z drzewa — pierzchają nasze zachwyty pełne myśli.

Jakże często bywa podobnie w naszym szkolnym życiu!

Idzie się rano do szkoły; wesoło jest jakoś, lekko na duszy i dobrze.

Ale przechodzi lekcja za lekcją i humor gdzieś ucieka, a w ostaniej godzinie nauki jest już tak daleko, że go „i w sto koni nie dogoni”.

Czemuż tak?

Bo oto „sypnięto klasówkami” na cały tydzień. Widocznie przyroda solidaryzuje się z ludźmi nauczającymi: ona sypie śniegiem, oni — klasówkami, a nierzadko niestety i — „dwójkami”.

Widocznie jednak tak być powinno, a my, przyjmując to do wiadomości, musimy zapomnieć o pięknej zimie, o pięknym krajobrazie, a myśleć tylko o — półroczu. „Skala.”

15 stycznia 1928 r.

Ptaszek i ludzie.

*Pokrywszy rzeki lodem srebrnobiałym,
Wstrząsnąwszy brodą nad biedną chatyną,
Dziad Mróz-Królewicz, idąc krokiem śmiałym,
Spotkał się w drodze z ziębniętą ptaszyną.*

*Ptaszyna głodna nożyny swe chowa
Pod skrzydeł dwoje i głos swój żaloszny
Do Stwórcy wznosi, układa go w słowa,
Brzmiące tęsknotą do Wiosny, do Wiosny.*

*Lecz nikły głosik wśród śnieżnej zawiei
Ciubi się szybko dla ludzkiego ucha,
Z braku okruszyn — ptaszek bez nadziei
Upadł na ziemię i wyzionął ducha.*

*Nikt już ptaszкови nie da takiej mocy,
By mógł się oprzeć chłodnej wichru jali:
Ni baśń czarowna księżycowych nocy,
Ni skargi ciche białych brzoź woddali.*

*A człowiek, szczęśliw, że mu żyć wygodnie,
Nie rzucił myślą w zakłętą błękity,
Mówi wesoło, śmiejąc się swobodnie,
Ze ptaszek z głodu przez Mróz jest zabity.*

W. Dudziński.

CZAJKA.

Wysoko w niebie, nad cichem jeziorem, w błękitnych lazurach buja i kapie się czajka. Złoty poranek już rozświetlił szarą ziemię, monotonna i smutną. W tęczy z promieni kapie się czajka; promienie igrają na jej skrzydłach i nęcą ku sobie.

Hej! w górę, w górę! Do słońca! Dalej od tych jednostajnych, nudnych ugorów, dalej od ziemi! Wysoko, wysoko, w podmuchach zefiru, w promieniach słońca kapie się czajka i mknie coraz wyżej. Dysk słoneczny jasny, łagodnie uśmiechnięty, nęci ją ku sobie. Zsyła na jej skrzydła snopy promieni, pozłaca je, a łagodny wietrzyk wznosi czajkę coraz wyżej i wyżej, a jasne lazury nęcą ją czarem swego piękna, swego ogromu, swej nieskończoności. Hej! wyżej! wyżej! Lećmy do słońca! Już oko nie zdoła pochwycić czajki. Gdzieś, het, daleko nad ziemią, w jasnych promieniach, w błękitnych lazurach, buja czajka na skrzydłach, ubranych barwami tęczy. Z jaką rozkoszą, z jaką lubością pływa w jasnym, błękitnym powietrzu. Zdaje się jej, że objęła w posiadanie ten ogrom nieskończony, że nowy świat, stokroć piękniejszy od szarej ziemi, rozlega się przed nią, w całej swej krasie, i nęci ją ku sobie. Olśniona światłem, zachwycona pięknem nowego świata, mknie czajka coraz wyżej i wyżej. Zdaje się jej, że słońce już, już niedaleko, że jeszcze jedno uderzenie skrzydeł, a znajdzie się obok niego. Więc naprzód! W górę! Lecz jakże nieskończenie ogromny jest przestwór błękitów, jak wysoko znajduje się słońce! Czajka natęży siły. Gdzieś w dole czerni się ziemia. Nic już nie można na niej rozpoznać. Jedna szara masa rozpościera się pod czajką. Jasne błękity, tkane złotem słońca, nęcą czajkę, jeszcze skrzydła jej posiadają dość mocy, aby mogła dotrzeć do celu i znaleźć spoczynek. Więc naprzód, precz ze zwątpieniem! Lećmy naprzód, lećmy w górę, do słońca!

Czajka leci. Lecz jakże ogromny jest przestwór błękitów! Już skrzydła mdleją, już sił brak, a ziemia tak daleko. Mglistym okiem patrzy czajka na zdradzieckie, tajemnicze przestworza, patrzy na słońce, które, jakby się litując nad nią, zasępia się powlekając chmurką, wreszcie zupełnie znika. Czajka traci kierunek drogi, sił już nie ma, wszędzie, gdzie rzuci okiem, rozpościerają się mgły; a ziemia tak daleko. Nieskończoność przestworza zmęczoną ptaszynę przygniata swym ogromem. Już bezwiednie zatacza czajka kręgi na jednym poziomie, siły ją opuszczają. Żegnajcie jasne lazury! Żegnajcie śmiałe porywy, żegnaj i ty nadziejo! Jak rzucony z góry kamień, spada czajka w dół. Znow szary, monotony ugór ukazuje się jej zamglonemu wzrokowi.

G. O.

D O L A.

*Szlakiem łez cichych, marzeń nieziszczalnych,
Z powiewem pieśni od borów płynącej,
Z świeżym zapachem pól i łąk zielonych,
Z drżeniem listeczków osiki mdlejącej*

Dola wędrowała...

*Czy idziesz Dolo w one polskie strony,
Z piosnką na ustach, co serca jednoczy?
Czy w kraj błękitów, od nas oddalony,
Uśmiech zanieziesz i Twe dumne oczy,
Dolańko smętna?*

*Spojrzyj, o Dolo, na gromady ludu,
Karmiące wiecznym niepokojem duszę,
Błagają Ciebie, oszczędź im łez, trudu,
Lub wniknij we mnie, a ja łzy osuszę,
O dolo nasza!*

W. Dudziński.

Jasełka po raz szósty.

Bardzo wiele dni upłynęło już od świąt Bożego Narodzenia. Ze struclami i plackami w koszach internistów dawno już zniknął nastrój świąteczny, zda się, bezpowrotnie do—roku następnego. Szczęśliwy jednak przypadek sprawił, iż święta Bożego Narodzenia przeżywaliśmy po raz wtóry, w lutym, podczas pięciokrotnego wystawiania „Jasełek”.

Widocznie jednak jest to przyjemnie: po świętach stworzyć sobie nastrój świąteczny, bo pomimo tylokrotnego powtarzania sztuki sala za każdym razem była wypełniona „po brzegi”.

Byłabym niesprawiedliwa, przypisując liczne przybycie gości tylko temu jednemu powodowi. Główną przyczyną powodzenia z pewnością były: bez zarzutu (prawie) gra artystów, jako też piękne dekoracje, oświetlenie i stroje.

Ja, choć tyle już razy miałam szczęście podziwiać to wszystko, za każdym razem jestem zachwyconą. Koledzy i koleżanki dzielają zapewne ten mój zachwyt i choć to będzie już po raz szósty w tym roku, jak Słowacki w „Godzinie myśli” życie swoje, zechcą ujrzeć Jasełka oczyma duszy.

Cichuteńko, tak, ażeby nie usłyszał kontroler i nie zażądał biletu, wejźmy na salę. Następnie w tłumie ludzi wyszukajmy twarz p. Przełożonej. Na szczęście na ustach p. Przełożonej

gości drogi nam, przyjazny uśmiech. Z otuchą więc lokujemy się na stopnie, obok miejsc siedzących, i z wyciągniętą szyją i zapartym oddechem podziwiamy snujące się przed oczyma obrazy. Oto powoli, majestatycznie, wspierając się na usługnych i aż na horyzoncie sztucznego nieba widocznych dłoniach koleżanek, wypływają na widownię skrzydlate anioły. Za chwilę Maciuś z żywiołową siłą budzi swych towarzyszy śpiochów, by wspólnie z nim podziwiali „cudne dziwy”. Już orkiestra podaje ton, na scenę wpada czwórka dziarskich krakowiaków. Hej, albożmy to jacy, tacy! Dziw, że umiłowana przez nas wszystkich scena nie rozleciała się na drzazgi od ognistych hołupców.

A któż z nas nie zachwycał się bajecznym żydkiem, który ochoczo uwija się wśród tańczących krakusów! Podziwiamy z kolei i Jędrka-Mędrka. Z jakim to artyzmem naśladuje on głosy ptasząt i poucza o Nowonarodzonym „syna Abrahama”, którego poły chałata i białe pończochy migają w powietrzu. Mała przerwa. Czas odpowiedni do podzielenia się wrażeniami i znowu ciąg dalszy.

W otoczeniu dworu, na tronie, srogi Herod srogie wydaje rozkazy, które wierni dworzanie tak skwapliwie wypełniają, iż na scenę wraz z lecącymi pastuszkami lecą i kolumny pałacu. Za chwileczkę jednak wraca porządek i przed oczyma widzów rozwija się dalsza akcja. Na scenie Herod z djabełem. Obaj grają naprawdę dobrze, a piękne oświetlenie potęguje wrażenie. Otrząśnijmy się jednak z tego prędkiej i podziwiajmy dalej. Oto Herodjada opuszcza już salę ze świętem oburzeniem w sercu, a nieszczęsne matki pomordowanych dzieci wydają nieludzkie wrzaski.

Ostatnia scena tego aktu znowu śliczna i nastrojowa. Na widownię wsuwa się doskonale ucharakteryzowana śmierć z kosą. Herod, jak przystoi na króla, broni się dzielnie i strąca nawet śmierci błyszczącą kosę. Ma ona jednak wielką władzę i potrafi zdjąć głowę nawet kijem. Już król Herod nie żyje. Choć raz bez grzechu możemy cieszyć się wspólnie z djabełem.

Patrzmy dalej. Wspaniała postać z kielichem w ręku — pan Twardowski. Znać, że lubi wybić i wypić, bo ma taką chrypę, iż trudno mu nawet śpiewać. Jest to jednak drobnostka w porównaniu z jego świetnym wyglądem. A postać dziada! Kogo nie wzruszył widok prawdziwego dziada z prawdziwą torbą! Niejedno serduszko dziecięce drgnęło z litością i mała rączka do czerwonej torby z dzwonkiem wrzuciła otrzymany od ojca pieniążek.

Trzeci akt jest cudnym, żywym wieńcem, takie tam bogactwo barw i strojów. Niewiadomo, na czym zatrzymać oczy: czy na jasnym aniołkach, czy świetlanej Matce Bożej, czy na dziel-

nym husarzu, składającym u stóp złóbka barwną chorągiew, czy ułanie „z pod Wawru i Ostrołęki”, czy poważnym konfederacie barskim, który błaga, aby Patria żyła, czy ognistym kosynierze, całą duszą miłującym Najświętszą Panienczkę.

Wszystko ma jednak swój koniec; skończyły się już i jasełka. Po raz niewiadomo który możemy sobie powiedzieć, iż pomimo wszystko występ udał się znakomicie. Pamiętajmy jednak, że udał się przedewszystkiem dzięki niezmordowanej pracy niektórych członków Grona Nauczycielskiego, a następnie dzięki kol. Boguckiemu, który pracował, nie szczędząc sił, w pracę swą wkładając duszę.

E. S.

Zabawa karnawałowa.

(Obrazek kreślony z perspektywy czasu 2½ dnia)

Biedna komisja zabawowa! Ileż ona w ten pamiętny wtorek miała pracy! Wśród uwijających się po korytarzach koleżanek i kolegów, raz po raz miga zarumieniona twarzyczka koleżanki Zosi, lub rozlegają się stanowcze głosy członków Zarządu Głównego, kierujących jakąś pracą.

Opustoszały klasy, gdy wyniesiono z nich ławki — lecz wkrótce zamieniły się na miłe, udekorowane zielenią saloniki. Na korytarzu też zjawiają się wieńce z choiny, zdobiące ściany i obrazy. Wreszcie wszystko skończone. Widzimy przybywającą orkiestrę. Dzwonek wzywa internistów na podwieczorek, składający się z pączków i kakao. Spożywamy w milczeniu, z wielką szybkością te dary Boże, bo prawie każdy i każda gdzieś się śpieszy, ma jeszcze coś do załatwienia.

Przez korytarz płynie fala młodzi, roześmiana, rozgwarzona, jak wezbrana wiosennymi wodami rzeka. Pierwsze dźwięki muzyki. W słabo oświetlonym, trochę mrocznym korytarzu zaczynają poruszać się tańczące pary. Niedługo jednak trwa taniec. Gospodarze zabawy proszą wszystkich na górę, bo na pierwszym piętrze trzeba przeprowadzić światło. Już przeciągnięto sznur z szeregiem kolorowych lampek. Korytarz zalany światłem. Wszyscy wracają z góry. Brzmią poważne tony poloneza. Oto już pan dyrektor Małek staje w pierwszą parę ze znaną na terenie naszej organizacji osobką — Jadzią Dobrzańską. Długim szeregiem płyną pary naprzód, łączą się, rozdzielają się, wiją się jak wąż barwny w kilku miejscach strojami krakowianek i krakowiaków. Kończy się polonez, idą inne tańce. Na korytarzu staje się prawie gorąco, lecz wkrótce zmniejsza się

ilość tańczących, bo pierwsza grupa idzie na kolację. Po kolacji niespodzianki. Aula wypełniona po brzegi. Rozsuwa się biała kurtyna. Widzimy jednego z kolegów, stojącego przy założonym różnemi gratami stoliku. Udziela on nam ciekawych informacji, jak np:

— Oto są nerwy koleżanki K.

— Oto papieros, który dopali kolega Z. po ukończeniu seminarjum.

— Oto najlepsze skrzypce Koleżanki Y.

— A to kamień, który spadł z serca koleżki B. po przejściu na kurs V. Czy bardzo jednak było przyjemnie tym osobom, które były przedmiotem żartów — nie wiem. Warto byłoby je o to zapytać, może wypowiedziałyby się na ten temat. Słyszymy jeszcze radjo, ciekawą krytykę „Jasełek” i podziwiamy inscenizowany przez słynne artystki, ogłoszony przez radjo wiersz Mickiewicza „Golono-strzyżono”.

Dalsza zabawa. W sali i na korytarzu pełno tańczących. Rozlega się melodia krakowiaka. Szereg par biegnie krokiem tanecznym. Głośno rozlegają się hołubce. Zda się, zaraz zabrzmia słowa:

„Czerwona czapeczka, na cal podkóweczka,
Niebieska sukmana, danaż, moja dana!”

W sali tańczą polkę. Pan dyrektor prowadzi. Wre zabawa, pełna życia. W ruchy, wykonywane pod takt muzyki, tańczący zdają się wykladać całą swą energję. Tak, taniec jest piękny, ale musi być pełny życia, zapału.

Upływają sekundy, minuty, godziny... Dwunasta się zbliża. Koniec zabawy. Minęło, upadło w przepaść przeszłości kilka godzin, o których może niejedna zapalona główka marzyła tygodniami.

J. IV. z.

HUMOR I SATYRA.

Rozmowa dwóch filozofów.

- Czołem, kochany mistrzu!
- Dzień dobry!
- W imię wieczności życzę ci spokoju.
- Głupstwo, a przyniosłeś teorię Darwina?
- Ależ nie, przecie sam nie zdążyłem jej przestudjować.
- Do djaska, nie rób z siebie głupiego!
- Ależ — kochany mistrzu — nietylko że nie robię z siebie głupiego, lecz udaję mądrego, chcę dorównać tobie, przemądry mój mistrzu XX wieku.

— No, no, schowaj swe frazesy, godne litości, w kieszeń i słuchaj, co ci powiem.

— Ależ przepraszam, kochany mistrzu, widzę nieład w twej garderobie, dziwnie razi twój krawat.

— Mój krawat?

— Tak, twój krawat przypomina powróż na szyi osła... ale przepraszam cię... nie bierz mi tego za złe, lecz za przyjacielskie, szczerze porównanie.

— Głupiś, jeszcze ci kapusta w głowie.

— Ależ przepraszam najpotężniej, wszak wiem doskonale, że co osioł, to nie ty.

— Ależ, do djaska, słuchaj, co ci powiem.

— Słucham, słucham!

— Uważasz, że pomimo nieczytania dzieł Darwina jestem jego zwolennikiem. Całą noc wczorajszą spędziłem na rozmyślaniu o włosach. Zacząłem swe rozmyślania od włosów kobiecych. Uważasz, że fryzura nie utrzymuje się w modzie dłużej nad 10 lat. Ponieważ zaś paziowskie fryzury weszły w modę w roku 1917, więc według obliczeń dokonanych, w 1927 roku ma przyjść kres chłopięcym czuprynom.

— No i cóż z tego?

— Jednakże 10 lat trwania fryzury to okres bardzo długi, wystarczający do zrujnowania głów kobiecych. Pewien Amerykanin, Charles-Nestle, który jest wice-przewodniczącym „Wholesade Beauty Trade Association”, powiada: „Jeśli kobiety w dalszym ciągu będą obcinały włosy à la garçonne, to powierzhowność głów ich ulegnie niekorzystnym zmianom”.

— Cha! cha! cha!

— Energia bowiem, która służy do rozwoju włosów, zbyt słabą obecnie przy chłopięcych fryzurach, znajdzie sobie ujście w bujniejszej wegetacji włosów na twarzy.

— Cha! cha! cha! no i cóż dalej?

— I oto, podobno w niedalekim już czasie, zobaczymy mnóstwo kobiet, ozdobionych pięknymi wąsami i brodami. Przytem energii tej, powodującej zarosty na twarzach kobiecych, tak mało zostanie dla włosów na głowie, że kobiety, na podobieństwo niektórych mężczyzn, zaczną świecić łysymi czaszkami.

— A wiesz ty co? Ty mię okropnie zainteresowałaś swemi dowodzeniami. A teraz pozwól, że zbuduję figurę według trybu „barbara”.

— No, no, jestem ciekaw!

— A więc słuchaj: wszystkie kobiety będą miały wąsy; wszyscy mężczyźni mają wąsy, a więc: wszystkie kobiety będą mężczyznami. Cha! cha! cha! a! zabawne!

— Idź do djabła!...

A. Sokół.

Dwa sprawozdania.

Referentka po półgodzinnem zapraszaniu przodowników na zebranie, (które jest spóźnione tylko o pół godziny):

Zebranie uważam za rozpoczęte. Porządek dnia jest następujący: sprawozdanie przodowników i wolne wnioski; kto ma coś w sprawie porządku zebrania?

Cisza.

A zatem przystępujemy do pierwszego punktu: sprawozdanie przodownika Ypsylona.

Przodownik Y: Finanse — kapitał wynosi tyle i tyle, kurs urzęda wieczór pieśni, wycieczkę na Pomorze, zawiązał kółko matematyczne, kółko polonistyczne i dba o porządek klasy.

Następuje dwuminutowa przerwa.

Referentka: Jakto, już?

Przodownik flegmatycznie: Już!

Z kątów dolatują tu i ówdzie ciche pomruki, słychać chrząkanie, widać ogólne poruszenie i znaczące uśmieški.

Przodownicy razem: Do licha! co to za sprawozdanie, jak widać z niego, kurs nic nie robi, kpiny sobie urzęda z organizacji! na pohybel przodownikowi! — Precz!

Przodownik Y: Ależ doprawdy nie wiem, o czem więcej mówić.

Referentka: Tem gorzej, już za te ostatnie słowa przodownikowi należy się nagana, a co mówić—za sprawozdanie. Jak tak można, słychana rzecz w Europie, żeby w ciągu dwóch minut złożyć sprawozdanie? Przodownik podał kilka suchych faktów i to nazywa sprawozdaniem. A tyle pięknych idei mieści się w głowach członków; czy przodownik choć wspomniał o nich? Tyle porywów szlachetnych, tyle myśli wzniosłych, tyle uczuć napełnia młodzieńcze serca, gdzież to jest w sprawozdaniu? Przecież te rzeczy grają niepoślednią rolę w naszym życiu, uduchawiając nas, a nawet, czasami tak są silne, że nie dają odrobić lekcyj.

Doprawdy wstyd, przodownik nie dba o kurs, nie interesuje się klasą... słowem zasypał gruszki w popiele.

Przodownik Y ze skruczą: Proszę wejść w moje położenie: muszę napędzać kurs i do tych prac, które powziął, muszę prosić, aby kurs chciał coś robić, bo członkowie pomimo, że są organizacją „mocno” zainteresowani i wiele uchwalają (wszak to też praca), chcąc widocznie przyjrzeć się organizacji zdaleka, (wiadomo, że niektóre arcydzieła na odległość nabierają dopiero wartości), unikają innych prac—nie zbliżają się do niej.

Zresztą, te prace zajmują tyle czasu, że innych nadobowiązkowych prac kurs nie robi.

Wszyscy: Kurs nic nie robi? Cha! cha! cha! Przodownik powiedział, że kurs nic nie robi! Taki to widocznie przodownik: lenistwo panuje na kursie...

Jeden z przodowników: Ponieważ ten kurs jest parszywą owcą w naszym społeczeństwie, należałoby go odseparować. Ja proponuję wywieźć wszystkich członków na Kamczatkę.

Drugi przodownik tonem ministerjalnym: Ja—do Honnolulu, albo rozpędzić na cztery strony świata, bo jeżeli znajdą się w gromadzie na Kamczatce, to gotowi ją przewrócić do góry nogami i spowodować wybuch wulkanu.

Klasę zaś ich należy wykadzić, proponuję napisać dwadzieścia podań do „Bratniej Pomocy”, aby po głębokim namyśle, wynoszącym tylko rok, wyasygnowała odpowiednią kwotę na środki dezinfekcyjne.

Referentka: Czy kolega stawia ten projekt jako wniosek?

Przodownik: Tak.

Referentka: Kto jest przeciwny temu?

Milczenie, — tylko z za pieca sterczą beznadziejnie dwa palce Ypsylona.

Referentka: Wniosek przechodzi większością głosów. Kurs zatem rozpędzamy na cztery strony świata: wschód, zachód, południe i północ, a klasę dezinfekujemy. Przystępujemy do następnego punktu:

Sprawozdanie przodowniczki Jmegi.

Przodowniczka z tremą: E... e... z powodu, iż kurs okropnie pracował... albowiem, oczywiście pracował, więc, gdyby nic nie robił to, zdaje się byłby, o ile się nie mylę, nic nie robiący, oczywiście, naturalnie, że byłby leniwy, ale tak nie jest.

Chór: Trema mija i wkrótce wytryśnie niebывała w dziejach literatury lawa słów, wobec której wybuch Wezuwjusza był dziecinną zabawką, wydmuchiwaniami popiołu z fajeczki, język zaś przodowniczki zacznie wykonywać zastraszającą ilość obrotów na minutę.

Przodowniczka: Kurs całe półrocze myślał, naturalnie, o tem co piękne i smaczne, czyli o niebieskich migdałach, budował zamki na lodzie (właściwie na obłokach), chodził na pauzach po korytarzu, miał 350 zebrań gminy, sypiał 12 godzin na dobę.

Jednym z poważniejszych postanowień była chęć postawienia gmachu seminarjum na kiju od anteny, kominami wdół. Jednak, po głębszym namyśle, doszliśmy do wniosku, że byłby to uczynek niemoralny, ponieważ seminarzyści musieliby uczyć się chodzić na głowach po sufitach, a jak wiemy, wszelka nauka jest przykrością.

Chciałyśmy urządzić wycieczkę na księżyc. Już wszystko było przygotowane do odjazdu, lecz mała drobnostka przeszko-

dziła temu, mianowicie: księżyc zaszedł i musiałyśmy wrócić ze stacji do domu.

Kurs zainteresował się pewnym problemem, mianowicie: co byłoby, gdyby zima istniała podczas lata i odwrotnie, chciałyśmy nawet urządzić wieczór dyskusyjny na ten temat dla starszych kursów, ale nie udało się.

Referentka z zachwytem: O Boże, ile pracy! czy aby kurs nie zawiele pracujez

Przodowniczka: Ależ cóż znowu, dla drugich gotowe jesteśmy się poświęcić.

Przodownicy, kiwając głowami: Stanowczo za dużo pracy.

Referentka: Co omawiałyście na zebraniach?

Przodowniczka: Na zebraniach omawiałyśmy sprawy bieżące. Raz jedna z koleżanek zobaczyła na suficie pająka, snującego sieć. Natychmiast powstał wniosek, aby go uśmiercić. Ale wyłonił się również przeciwny wniosek, że ponieważ pająk dotychczas nie złapał ani jednej muchy, nie można go karać śmiercią. Pomimo wszystko zapadł wyrok, skazujący pająka na śmierć (większością). Ale równocześnie wyłoniła się kwestja, jak go zabić.

Z czterdziestu wniosków jeden uzyskał większość głosów.

Wniosek ten brzmiał: Uzyskać pożyczkę na kupno największej armaty na świecie, mianowicie tej, zapomocą której wystrzelono na księżyc (Jest to autentyczne, kto nie wierzy, niech przeczyta Żuławskiego albo Verne'a). Dalej należałoby ustawić ją pośrodku klasy, wycelować starannie w głowę pająka i strzelić... wtedy pająk umrze. Niestety nie znalazł się amator do strzelania, bo była obawa, że kula po zabiciu pająka może odbić się o sufit i uśmiercić strzelającego. Dlatego projektu nie wykonano, lecz cierpliwie czekaliśmy, aż pająk sam umrze, i zwłoki jego dotąd wiszą na sznurach pajeczyny. Na takich i podobnych sprawach schodził nam czas.

Wszyscy: Słusznie.

Prezes Zarządu Głównego: Proszę o głos w sprawie sprawozdania.

Referentka: Proszę.

Prezes: Jak widzimy, sprawozdanie jest wzorowe, świetne, olśniewające. Widzimy z niego, że kurs zachowuje się według naszego pozytywisty, Prusa, czyli trzyma głowę w chmurach, a nogi na ziemi,

Wszyscy chórem: Bezsprzecznie!

Prezes: Takich kursów nam potrzeba! Jeżeli wszyscy wezmą się tak do roboty, to organizacja nasza stanie na żelaznych nogach. Skończyłem.

Referentka: Ponieważ to już dzwonek na obiad, musimy przerwać zebranie, albowiem grzechem jest spóźnić się na obiad. Reszta sprawozdań odbędzie się na przyszłym zebraniu. Zebranie uważam za skończone.

Wszyscy wychodzą.

Kotłowski.

Tańczący filozof

albo: Jak spędził czas Bonifacy na naszej zabawie karnawałowej?

Pewnego pięknego poranka poczęło coś gryźć Bonifacego w dołku pod sercem. Oto dowiedział się, że ktoś „puszcza w ruch” nasze życie towarzyskie, to jest, chciałem powiedzieć: urządza zabawę karnawałową. Sliczna to rzecz zabawa, ale filozoficzny umysł Bonifacego nie mógł się pogodzić z tem, że trzeba jednocześnie płacić pewną składkę...

I nie zapłacił, bo nie miał!

Nadszedł wieczór. Zabawa się rozpoczynała. Bonifacy postanowił spędzić ów wieczór w internacie. Aliści dwie grube trąby, siedzące na krzesłach, jak nie rykną jakiegoś „Rafałka”, od razu uczestnikom zabawy zadrżały ze strachu nogi, a przed oczyma stanął, jak żywy, sąd ostateczny! Bonifacy wyskoczył o 13 metrów naprzód na korytarz, gdzie już tańczono. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widzi istną powódź granatowych sukienek i takichże bluzeczek (u koleżanki Mierzejewskiej bluzka biała), cały las męskich spodni (cerowanych gdzieniegdzie — dratwą), a wszystko to należało do członków naszego Stowarzyszenia (nawet wółowa głowa w gabinecie osobliwości).

Orkiestra 42 p.p. przygrywała do tańca. Wszyscy tańczyli do góry głowami. Sala była iluminowana dwiema żarówkami (jedna świeciła tam, gdzie siedziały trąby, druga, gdzie chodziły fujary) wypożyczonemi z sekcji scenicznej.

Pod rękę Bonifacemu wpadła rozwichrzona, jak lwia grzywa, czupryna przodownika kursu III męskiego.

— Słuchaj, kochany Dzierżuś! — błagał Bonifacy — załóż za mnie 50-cio groszówkę, jutro zwrócę.

Przodownik III męskiego, wielka osobistość (1 m. 0,5 cm. wzrostu) uśmiechnął się i rzekł:

— Widzę, Bonifacusi, że najlepszym środkiem na wpłacanie składek jest orkiestra. Dobrze, założę za ciebie, tylko w przyszłości nie zapominaj o tem.

Bonifacy skoczył z radości. Nadepnął przytem rzetelnie jednej jejmości na nogę, lecz powiedziawszy szybko po dżentelmeńsku: „O, la Boga! pardon monsieur! olrajt!” — ruszył zaangażować sobie partnerkę do tańca.

Los dał mu tancerkę dwa razy wyższą od niego, więc Bonifacy był zmuszony rzetelnie się podnosić na palce, by zbytnio nie rozśmieszyć otoczenia. Zabawa śliczna, cudowno-bajeczna, subtelna (jak nasze piosenki na wycieczce), brała Bonifacego w swe posiadanie.

Tańczył ze swą partnerką w przepisanej sztubakom odległości (75 cm.²) i byłoby zupełnie dobrze, gdyby nie jedno.

Oto jego tancerka (chodząca w tańcu w ten sposób, w jaki chodzi rak), nie widząc, że tuż za nią w pobliżu siedzą członkowie Grona Nauczycielskiego, starała się przekrzyczeć ryk trąb:

— Bonifacy, śmielej, to prędzej nauczycie się tańczyć!

„Bodaj cię wciórnościł Tfu, na psa urok!” — mruknął Bonifacy, a ponieważ na życie patrzy trzeźwo, więc zaczął odmawiać: „Pod Twoją obronę...”

Orkiestra gra „Augusty”. Bonifacy poczyna tańczyć „z figurami”. „Figury” są to takie zwroty nóg, rąk, głowy, serca, włosów i uszu. Wykonywa je Bonifacusz z zapałem, godnym lepszej sprawy, tak że inni, tańczący w okolicy Bonifacego, poczynają chwycić się z bólu za boki (eeee! seminarzysta nie taki jeszcze ból widział!), za pięty, łydki, kolana, piorunującym wzrokiem, a zarazem pełnym litości, obrzucają tańczącego filozofa.

Takie tańczenie z figurami świadczy o człowieku — jak twierdzą pewne miłe osóbkki — dobrze.

Po kilku tańcach poszli wszyscy na kolację. Bonifacy w wyśmienitym humorze. Siada obok swej wyrosłej sąsiadki i trawi dary Boże. Taka kolacja wydaje się Bonifacemu strasznie nikłą po obertasach, polkach, i innych tańcach, ale widząc kol. Borkowskiego zadowolonym, cieszy się z nim razem i powiada:

— No, Jasiu! przynajmniej raz w życiu widzę cię zadowolonym z internatu!

Po kolacji niespodzianki. Wszyscy idą do gabinetu osobliwości, gdzie wśród starych gratów, martwych, stał jeden żywy — kol. Deptuła, i objaśniał one osobliwości.

W chwili, gdy młodzież (oczywiście i starsi niemniej) była najbardziej rozbawioną, odzywa się z któregoś kąta złowieszczy głos: „Niech żyje śledź!” Orkiestra gra marsza. W półgodziny potem, gdy wszyscy wyszli, woźni zbierali całą godzinę obcasy, zelówki, podkówki i kawałki szpagatu. Kol. Preis pono zgubił krawat i musiał wracać bez niego do domu.

Bonifacy, zrzucając buty, dopiero teraz zauważył, że w pośpiechu but z prawej nogi włożył na lewą, a z lewej na prawą. Dziękował Bogu, że sala była ślicznie iluminowana.

Tak się skończyło „wprawienie w ruch” naszego życia towarzyskiego.

W. Dudziński.

Nadzwyczajne wypadki w życiu naszego Stowarzyszenia.

Dnia 1-go lutego. Nowy zarząd na swem zebraniu (raz około Wielkanocy) uchwalił, by od dnia dzisiejszego w pokoju młodzieży stała kawa z wodą, którym to płynem urzędnicy nasi będą zapijali swą małomówność.

Dnia 3 b. m. Koledze Lazurowi od olbrzymiego wysiłku myślowego wypadł zęb mądrości (oglądać go można w naszym muzeum), z tego też powodu ilość artykułów tego autora w naszej „Młodej Myśli” się zmniejszy.

Dnia 6 b. m. Na zebraniu komisji zabawowej większością głosów uchwalono, by ci, którzy chcą wypożyczyć 12 groszy z naszej Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej, składali do niej po 6 podań, 12 pokwitowań odbioru pieniędzy (zaraz przy podaniach) i czekali na pożyczkę 3 miesiące.

Dnia 10 b. m. Statystyka wykazała, że od początku bieżącego miesiąca, w gmachu Seminarjum, złamano 8 par klamek delikatnem odmykaniem drzwi.

Dnia 12 b. m. Kolega Dwujalski, chcąc być uspołecznionym, przegrał 1½ raza na skrzypcach zadane ćwiczenie ze szkoły Maleczka.

Dnia 15 b. m. Koleżanki rozmawiały z kolegami o naszej organizacji szkolnej.

Dnia 17 b. m. Kolega Janek z I kursu zgłosił się sam do pracy w sekcji scenicznej przy naszej „Bratniej Pomocy”.

Dnia 19 b. m. W niedzielę dzisiejszą przy odgrywaniu „Jasełek” tylko sześć osób zapomniało swe role.

Dnia 25 b. m. Wszyscy przybyli punktualnie na chór kościelny.

Dnia 27 b. m. Kolega Psinkiewicz miał „odrobioną” lekcję matematyki.

Dnia 29 b. m. Na walnem zebraniu naszego Stowarzyszenia uchwalono, że krede (z okresu miocenińskiego) trzeba kupić u Hallaja, by wypisać na tablicy podczas następnego walnego zebrania preliminarz budżetowy.

Dnia 31 lutego. Kasa Oszczędnościowo-Pożyczkowa ogłosiła (drukem) nazwiska 250 dłużników, a na kursie III męskim prawie wszyscy (z wyjątkiem 18-tu) wpłacili do kasy kursowej składki gminne.

W. Dudziński

Na lekcji psychologii.

Profesor. Proszę mi wskazać konkretny, któryby mocno rzucał się w oczy.

Uczeń. Lew na pustyni, rzucający się na podróżnika.

* * *

Kol. X. Nie wiesz, kto to umarł Ryškowi?

Kol. Y. Nikt, albo co?

Kol. X. Ano nosi ciągle czarny kołnierzyk.

K.

Drukarnia Diecezjalna
w Łomży.